

Piękni i Martwi

Yvonne Woon

Przekład

Ewa Skórska

A jeśli kiedy taki czy jakikolwiek inny człowiek przypadkiem znajdzie swą drugą połowę, wtedy nagle dziwny na nich czar jakiś pada, dziwnie jedno drugiemu zaczyna być miłe, bliskie, kochane, tak że nawet na krótki czas nie chcą się rozdzielać od siebie. I niektórzy życie całe pędzą tak przy sobie, a nie umieliby nawet powiedzieć, czego jedno chce od drugiego. Bo chyba nikt nie przypuści, żeby to tylko rozkosze wspólne sprawiały, że im tak dziwnie dobrze być, za wszystko w świecie, razem. Nie. Ich obojga dusze, widocznie, czegoś innego pragną, czego nie umieją w słowa ubrać, i dusza swe pragnienia przeczuwa tylko i odgaduje.

Platon *Uczta* przeł. Władysław Witwicki

Prolog

Nie wiedziałam o śmierci nic, dopóki nie zaczęłam się uczyć filozofii. To wtedy poznałam prawdę o Kartezjuszu, o cywilizacji starożytnej Grecji i Rzymu, o mojej własnej przeszłości. Moja mama często mawiała, że materia nigdy nie umiera i nigdy się nie rodzi, że jedynie się przekształca. Znała mnóstwo starych teorii, które kazała mi powtarzać, zupełnie jakby próbowała przekazać mi coś ważnego o świecie, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Nie zastanawiałam się nad tym aż do chwili, gdy moi rodzice umarli, ale wtedy było już za późno na zadawanie pytań. Dopiero później, gdy znalazłam się w Akademii Gottfrieda, zaczęłam rozumieć, kim jestem i co jest moim przeznaczeniem. Pozwólcie jednak, że najpierw opowiem o szczególnych okolicznościach śmierci moich rodziców. To właśnie ich śmierć zapoczątkowała łańcuch niesamowitych wydarzeń, które doprowadziły mnie do miejsca, w którym teraz jestem. Podczas pierwszego roku w Akademii Gottfrieda zrozumiałam jedno: czasem trzeba obejrzeć się za siebie, by zrozumieć to, co niesie przyszłość.

Spotkanie w środku lasu

Moi rodzice zmarli pewnego gorącego sierpniowego dnia. Akurat skończyłam szesnaście lat i razem z moją przyjaciółką Annie wymknęłyśmy się do Santa Rosa, żeby to uczcić. Pojechałyśmy jej samochodem i spędziłyśmy całe popołudnie na Buzzard's Point Beach. Opałałyśmy się, przeglądałyśmy czasopisma i spacerowałyśmy po molu. Koło piątej po południu, gdy zaczął się przypływ, spakowałyśmy ręczniki i zaczęłyśmy się zbierać do domu, żeby zdążyć przed powrotem rodziców z pracy.

Prowadziła Annie, jej długie jasne włosy rozwiewał wiatr, gdy jechałyśmy wzdłuż Prairie Creek Drive, malowniczą drogą, która zaczynała się na wybrzeżu i biegła w głąb lądu między sekwojami. Annie nie chciała jechać przez park narodowy, gdzie droga się zwężała i stawała bardziej mroczna, przyprawiając ją o dreszcze. Nie wiedzieć czemu czułam, że właśnie tędy powinniśmy jechać. Po dziesięciu minutach zapewnień, że to najszybszy sposób dostania się do Costa Rosa, Annie skapitulowała.

- Kiedy spotkasz się z Wesem? - zapytała, poprawiając okulary przeciwsłoneczne.

Wes chodził do ostatniej klasy

Wysoki, błyskotliwy, uśmiechnięty, był kapitanem drużyny i jedynym chłopakiem w naszym liceum, z którym warto się było umówić. Niestety, wszystkie inne dziewczyny były tego samego zdania. Ciągłe kręciły się obok niego, chichocząc i próbując zwrócić jego uwagę. Nigdy w życiu nie zrobiłabym czegoś takiego! Po pierwsze dlatego, że według mnie to było żalosne, a po drugie - zwyczajnie nie miałam czasu. Miałam treningi lacrosse'a, naukę i pracę w weekendy. Wprawdzie byłam dość lubiana, ale nigdy nie należałam do ludzi zbyt towarzyskich.

Ostrożnie dobierałam przyjaciół, stawiając raczej na jakość niż na ilość, poza tym skupiałam się głównie na pracy albo czytaniu i nie obchodziły mnie imprezy. Byłam przekonana, że Wes nawet nie wie, jak mam na imię. Gdy zaproponował mi spotkanie, dosłownie mnie zatkało.

- Chyba w sobotę. Ale powiedział, że jeszcze zadzwoni, a jest już czwartek. Może się rozmyślił?
Annie przewróciła oczami.

- Nie wygłupiaj się. Zadzwoni na bank.

Miałam nadzieję, że tak właśnie będzie. W weekendy pracowałam na targu przy stoisku z owocami. Wes zatrzymał się przed nim dwa tygodnie temu i poprosił, żebym pomogła mu wybrać jabłka dla mamy. Nerwowo przeczesując włosy, przyznał się, że nie zna się na owocach, jest tyle odmian jabłek... Gdy potem zapytał, czy nie poszłabym z nim do kina, z wrażenia upuściłam torbę, a jabłka rozsypały się na ziemię przy naszych nogach.

Po naszej randce mogłam już myśleć tylko o jednym: o pocałunku w ciemnościach i jego ustach o smaku popcornu i soli.

Odsunęłam od siebie te myśli i wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem, czy on mnie w ogóle lubi - westchnęłam. Nie chciałam robić sobie zbyt dużych nadziei.

- Moim zdaniem jesteście dla siebie stworzeni -oznajmiła Annie, odchylając się na oparcie siedzenia.

- Dzięki, An. - Uśmiechnęłam się i podgłośniłam radio.

Obydwie podkochiwałyśmy się w Wesie od wieków, ale Annie nigdy nie pozwoliłaby, żeby to wpłynęło na naszą przyjaźń. Annie była śliczna, skromna, urocza i miła - trudno było jej nie lubić. Za to ja byłam impulsywna, chuda i niezgrabna - typowy mól książkowy marzący

O tym, żeby być taką jak bohaterki książek i przestać wygadywać nieodpowiednie rzeczy w nieodpowiedniej chwili. Miałam szare oczy, duże i dzikie, gęste brązowe włosy

1grzywkę, która początkowo wydawała się dobrym pomysłem, ale gdy wyszłam od fryzjera, zaczęła żyć własnym życiem. Wolałam być na dworze niż w domu, biegać, niż chodzić, i w efekcie moje kolana zawsze były pozalepiane plastrami, a policzki opalone i piegowate.

Droga zwięzała się, skręcając gwałtownie i niespodziewanie, gdy jechałyśmy coraz bardziej na północ, zagłębiając się w las sekwoi. Moje mokre włosy powiewały na ramionach, a ja rozczesywałam je palcami, susząc w ciepłym kalifornijskim wietrze. Wzdłuż drogi rosły wiekowe drzewa, słońce zachodziło, a niebo nabierało złowieszczej czerwonej barwy. Tego lata pogoda była dziwna, nieprzewidywalna, po całym dniu pięknej pogody na horyzoncie pojawiały się chmury.

Annie zwolniła na zakręcie. Auto pachniało kremem do opalania i aloesem, właśnie sprawdzałam w lusterku, gdzie się opaliłam, gdy spostrzegłam samochód. To był podrzewiały biały džip z bagażnikiem na dachu, zaparkowany na poboczu, pod drzewami.

Usiadłam prosto.

- Zatrzymaj się - powiedziałam.

- Co?

- Zatrzymaj się!

Annie zaparkowała obok dzipa, gdy ostatnie promienie słońca zniknęły za horyzontem.

- To wóz twojego taty? - zapytała, wyjmując kluczyki ze stacyjki.

- Tak - odparłam zaniepokojona i otworzyłam drzwi.
- Ale dlaczego tutaj? - spytała. Usłyszałam, jak zamyka drzwi.

Nie miałam pojęcia. Tata powinien być w pracy, on i mama uczyli w liceum w Costa Rosa, prawie godzinę drogi stąd. Zajrzałam do samochodu. Był pusty, na siedzeniu leżały rozrzucone rzeczy, jakby wysiadano z niego w pośpiechu. Gigantyczne pnie sekwoi znajdowały się w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów, oddzielając drogę od pogrążającego się w ciemności lasu. Sięgnęłam po kurtkę.

- Co robisz? - Annie drgnęła nerwowo.
- Musi gdzieś tutaj być - rzuciłam, idąc w stronę drzew.
- Że co?

- Może spaceruje... Czasem z mamą urządzają sobie w weekend takie wyprawy - usiłowałam mówić z przekonaniem, ale sama w to nie wierzyłam. - Sprawdzę.

- Zaczekaj! - zawołała Annie. - Renee, zaczekaj! Robi się ciemno. Może lepiej wracajmy do domu?

Nie odpowiedziałam, okrążyłam samochód Annie i przechyliłam się przez okno od strony pasażera. Sięgnęłam do schowka i wyjęłam latarkę, którą jej rodzice trzymali tam na wszelki wypadek.

- Nie martw się, zaraz wrócę. Czeka tu na mnie. - A potem odwróciłam się i pobiegłam do lasu.

Las był chłodny i wilgotny. Pędziłam między drzewami, mokry kostium kąpielowy przemoczył ubranie, adidas zapadały się w ziemię, paprocie chłostały mnie po łydkach.

- Tato?! - wołałam w ciemność, ale szumiący w gałęziach wiatr tłumiał mój głos. - Tato, jesteś tam?!

Biegłam, a promień latarki podskakiwał między drzewami jak szalony, oświetlając je nagłymi, krótkimi rozbłyskami. Otaczały mnie ogromne, ciemne sekwoje, ich pnie strzelały w górę, wysoko ponad mgłą, która zaczynała ścielić się nad ziemią.

Gdy w końcu przystanąłam, by złapać oddech, czułam się jak po wielokilometrowym biegu. Kątem oka dostrzegłam, że coś błyszczy na ziemi, ruszyłam w tamtą stronę. Ręce mi się trzęsły, gdy skierowałam światło latarki na to miejsce. To była moneta. Podważyłam ją czubkiem buta, obok leżał strzęp białego materiału. Poszłam dalej.

Tu, w głębi lasu, było chłodniej. Zadrżałam, zapięłam kurtkę i oświetliłam ziemię. Była usiana monetami i kawałkami białego materiału. Zaintrygowana, schyliłam się, żeby przyjrzeć im się z bliska i wtedy niedaleko mnie poruszyły się liście. Potem rozległ się szelest i miękki odgłos czyichś kroków.

Zamarłam. Z oddali dobiegał dźwięk przejeżdżających samochodów, ich światła wyglądały niczym świetliki. Wpatrzyłam się w krzaki wokół mnie, ale nie dostrzegłam żadnego ruchu, jedynie w górze szumiały gałęzie. Odetchnęłam z ulgą, zrobiłam krok do przodu i wtedy moja stopa natrafiła na coś dużego i miękkiego.

Żołądek mi się ścisnął, gdy dostrzegłam dłoń, białą, z delikatnymi palcami wbitymi w ziemię. Przesunęłam strumień światła na nadgarstek, ramię, szyję i twarz pokrytą ziemią i okoloną długimi orzechowymi lokami.

Krzyknęłam cicho i odwróciłam wzrok. W powietrzu czuć było silną woń gnijących liści. Zmusiłam się, żeby ponownie spojrzeć na ciało.

- Mamo - szepnęłam.

Leżała na plecach, z rękami wzdłuż tułowia. Miała zamknięte oczy i można by pomyśleć, że śpi, gdyby jej skóra nie była tak strasznie blada. Szczupłe, umięśnione nogi, które po niej odziedziczyłam, teraz sztywne, nadal miały

ten dziewczęcy kształt, z którego była taka dumna. Wyglądała bardzo spokojnie, jakby po długiej przechadzce po lesie położyła się na chwilę, żeby odpocząć.

Pochyliłam się i przyłożyłam palce do jej szyi, tuż poniżej szczęki. Skóra była lodowato zimna. Nie wiem czemu sprawdzałam puls, przecież wiedziałam, że nie żyje. Wyglądała, jakby śmierć postarzyła ją o co najmniej dziesięć lat. Policzki miała zapadnięte, okularów nigdzie nie było. Bez nich skóra wokół oczu wydawała się naga i odsłonięta, pod oczami pojawiły się cienie.

Mój tata leżał kilka metrów dalej, wokół jego ciała lśniły monety. Nie mogłam na to dłużej patrzeć, wypuściłam latarkę z rąk. Upadła miękko na ziemię, poturlała się do nóg taty. Patrzyłam na jego buty, rozrzucone nienaturalnie na boki i czułam, że zaczyna brakować mi powietrza. Chciałam do niego podbiec, ale nie mogłam zmusić się do ruchu. Chciałam zawołać Annie, ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Zrobiło mi się niedobrze, chciałam odwrócić wzrok, pobiec w stronę drogi i wezwać pomoc, ale nie zrobiłam nic. Wiedziałam, że to moje ostatnie chwile z rodzicami.

- Dlaczego? - wykrztusiłam.

Gdy byłam mała, rodzice zawsze potrafili znaleźć odpowiedź na najtrudniejsze pytania, a teraz po raz pierwszy w życiu milczeli. Przetarłam oczy i dotknęłam ręką ust mamy. Były rozchylone, widać było wystający z nich cienki materiał. Wyjęłam go delikatnie i podniosłam do światła. Był postrzępiony na brzegach jak gaza. Obróciłam go w rękę i spojrzałam na mamę. Na jej ciele nie było żadnych śladów przemocy, żadnych siniaków czy ran, żadnej krwi. Ale ta gaza, te monety - ktoś przecież musiał to zrobić! Zadrżałam. Odwróciłam się i wpatrzyłam w ciemność, zastanawiając się, czy jest tu ktoś jeszcze oprócz mnie.

Drzewa sklepiały się nade mną, wierzchołki drzew zginały się i łączyły. W mojej głowie wirował obraz martwych rodziców, czułam się dezorientowana i zagubiona. Ściskając gazę w dłoni, położyłam głowę na piersi mojej mamy, zamknęłam oczy i wsłuchiwałam się w szum gałęzi nade mną. Tak bardzo pragnęłam, żeby był już ranek, a las okazał się pusty i pełen słońca, i żeby to był tylko zły sen. Czułam zimne powietrze na skórze, strzępy białej gazy poruszały się na ziemi, niczym ćmy na siatce w drzwiach.

W dniu pogrzebu moich rodziców upomniała się o mnie przeszłość. Leżałam na podłodze w salonie, wpatrując się w owady, które gromadziły się na brzegach szyb w oknie, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Mama Annie, Margerie, która była przy mnie przez cały czas, otworzyła je.

- Panie Winters! Tak się cieszę, że pan przyjechał - szepnęła.

Słuchałam dźwięków. Cichy szmer głosów, szuranie butów wycieranych o wycieraczkę, a potem głęboki kaszel. I kroki.

- Renee? - powiedziała delikatnie Margerie.

Nie poruszyłam się. Dwie stopy zatrzymały się przede mną. Patrzyłam na brązowe buty, na frędzle na końcach sznurowadeł, na zagniecenia tuż przed dużym palcem.

- Przyjechał twój dziadek.

Usiadłam, włosy przywarły mi do tyłu głowy.

- Witaj, Renee - odezwał się mężczyzna głębokim głosem i wyciągnął do mnie dużą twardą dłoń, żeby pomóc mi wstać. Wyglądał na profesora z tymi białymi włosami, długimi płatkami uszu i dużą, jakby rozciągniętą twarzą. Jego ubrania pachniały słodko tytoniem do fajki.

Ignorując dłoń, położyłam się z powrotem. Brownie Winters, ojciec mojej mamy. Nie widziałam go, odkąd skończyłam siedem lat. To, że nosiłam takie nazwisko jak on, wydawało się co najmniej dziwne. Między nim i rodzicami doszło do kłótni, dziadek wyszedł, trzaskając drzwiami. Od tamtej pory nie dawał znaku życia. Nie przysyłał nawet kartek na urodziny.

- Nie byłeś na pogrzebie - odparłam oskarżycielsko, patrząc na jego pomarszczoną szyję.

Westchnął. Miał takie same oczy jak mama, wodniście niebieskie i smutne.

- Aż do dzisiaj nie miałem pojęcia o tym, co się stało. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Nie odezwałam się. Mama często opowiadała mi o surowych zasadach, które panowały w jej domu w Massachusetts. O tym, że dziadek dbał jedynie o pieniądze, pozory i nazwisko - to on nalegał, żebym nosiła jego nazwisko, a nie taty. Dzieciństwo mamy wydawało mi się tak różne od mojego! Dorastała w ponurej posiadłości wśród lasów. Często powtarzała, że było to odludne miejsce i więcej czasu spędzała z gosposią niż z rodzicami. Pewnie właśnie dlatego ona i mój tata przenieśli się do Kalifornii. Nasz dom był miejscem, w którym każdy czuł się swobodnie. Skromny, ale pełen życia i przytulny. Na ścianach wisiały zdjęcia, przez duże okna wpadało światło. Trawa na podwórku nigdy nie była koszona na czas, w basenie na tyłach pływały liście i żuki, które wplątywały mi się we włosy, ale w letnie upalne popołudnie cudownie było zanurzyć się w wodzie.

Wpatrywałam się w buty mojego dziadka. Wyglądały na niewygodne.

- Zostanę z tobą przez jakiś czas - oznajmił, zakładając okulary. - Dłuższy czas. Twoi rodzice wyznaczyli mnie na twojego prawnego opiekuna, co jest dla mnie sporym zaskoczeniem, zwłaszcza po tym, jak skończyło się nasze ostatnie spotkanie. Miłym zaskoczeniem, rzecz jasna, chociaż wolałbym nie dowiadywać się o tym w tak tragicznych okolicznościach. Zawsze żałowałam, że nie mogę być częścią twojego życia... - przerwał, a gdy znów się odezwał, jego głos brzmiał nieco łagodniej. - Czasem warto skupić się na dobrych wspomnieniach. Przypominają ci człowiekowi, że szczęście jednak istnieje, nawet jeśli w tej chwili jest to mniej oczywiste - Gdy nie zareagowałam, poruszył się. - No cóż, w każdym razie mam nadzieję, że zobaczymy się na kolacji, która zostanie podana punktualnie o dziewiętnastej trzydzieści.

Zamknęłam oczy, usiłując się nie rozplakać. Wprawdzie dziadek był moim prawnym opiekunem i jedynym krewnym, ale nie obchodziło mnie to, czy tu zostanie, czy też wyjedzie na zawsze, a już na pewno nie miałam zamiaru jeść kolacji. Od czasu tamtej nocy w lesie nie jadłam prawie nic. Zostałam sama, zupełnie sama i nie miałam pojęcia, co się teraz stanie, jak będzie wyglądać moje życie po śmierci rodziców. Ludzie przychodzili i wychodzili, ale dla mnie byli jedynie niewyraźnymi cieniami.

Mój dziadek nadal stał nade mną, ale ja leżałam nieruchomo. W końcu usłyszałam, jak klepie się po kieszeniach spodni i oddala do kuchni. Wiatrak pod sufitem mełł powietrze, czułam na swojej szyi ciepłe, mocne podmuchy

Następny tydzień minął jak w malignie. Większość czasu spędzałam, włócząc się po domu, usiłując zachować spokój i unikając dziadka, który najwyraźniej chciał porozmawiać o mojej przyszłości, chociaż ja nadal tkwiłam w przeszłości. Był emerytowanym profesorem (babcia zmarła, jak byłam mała) i odkąd się wprowadził, zostałam niemal zniewolona we własnym domu, a moje życie stało się nieznośną rutyną. Jak powiedział: „Reguły pomagają nam żyć normalnie, nawet wtedy, gdy stracimy chęć do życia”. Ściągnął tu swojego majordomusa, starego, łysego Dustina, który sprzątał, gotował i pełnił funkcję kierowcy. Posiłki podawano trzy razy dziennie: śniadanie o siódmej, obiad o trzynastej, a kolację o dziewiętnastej trzydzieści. Zaspanie na śniadanie było surowo zabronione,

a do tego musiałam zjeść wszystko, co miałam na talerzu, zanim pozwolono mi wstać od stołu. Nie byłby to żaden problem, gdyby nie to, że dania serwowane przez Dustina były ciężkie i wyszukane: foie gras, ślimaki, kawior, czarny pudding (który właściwie nim nie był), słodki chleb (który wcale nie był słodki, a nawet nie przypominał chleba), środki sałat, które przypominały raczej jakiegoś gada niż warzywo.

Dziadek uczył mnie dobrych manier przy stole, zerkając z dezaprobatą na podarte dżinsy czy wydekoltowane podkoszulki. Powiedział, że się garbię, co woła o pomstę do nieba, i że trzymam widelec jak barbarzyńca. Rzuciłam mu spojrzenia spode łba i miałam ochotę się odciąć, ale się powstrzymałam. Dzisiaj nie miałam czasu na kłótnie. Planowałam wyjść z domu. Zerknęłam na zegarek, była dwudziesta. Spojrzałam na talerze, na srebrne sztuce, na papierowy ręcznik wiszący nad umywalką, na stojący na półeczce nad kominkiem dzban z monetami, które przywodziły na myśl rodziców i ich śmierć. Jeśli chciałam wyjść, musiałam zrobić to szybko, ponieważ pierwszy raz w życiu obowiązywała mnie godzina policyjna - o dwudziestej drugiej powinnam być z powrotem.

- Wychodzę - wymruczałam.

Dustin stał w rogu pokoju, ubrany w garnitur, z rękami założonymi za plecami i wpatrywał się w sufit, udając, że nie słucha. Rzuciłam mu nieprzyjazne spojrzenie.

Dziadek opuścił widelec.

- Czy mogłabyś powtórzyć? Powtórzyłam, głośniejszym głosem i ze złością.

- Teraz lepiej. - Spojrzał na zegarek. - Robi się późno, wolałbym, żebyś została w domu.

Słońce właśnie skryło się za domami przy ulicy.

- Przecież jest widno - zaprotestowałam.

- Wolałbym, żebyś nie wychodziła sama późnym wieczorem, to nie jest bezpieczne.

- Nie będę sama, będzie ze mną... Annie - rzuciłam szybko, improwizując.

- Wolałbym, żebyś została - odparł stanowczo.

- To może pójdę do pokoju i spędzę w nim resztę życia? To na pewno będzie bardzo bezpieczne - oznajmiłam, zabierając swój talerz i wstając od stołu.

Dustin poruszył się, pewnie chciał zabrać moje nakrycie, ale dziadek powstrzymał go gestem. Odwróciłam się do nich tyłem i wymaszerowałam do kuchni, czując się jak zwycięzca.

- Renee! - zawołał dziadek. - Chciałbym cię o coś spytać.

Bez słowa odkręciłam kran.

- Jak znalazłaś rodziców?

To mnie zaskoczyło. Gąbka wypadła mi z ręki i zatonała w mydlinach.

- Już ci mówiłam.

- Owszem - przyznał spokojnie. - Ale myślę, że to jeszcze nie wszystko.

Nie odpowiedziałam.

- Nie rozmawialiśmy dotąd o twoich rodzicach... Uznałem, że będzie lepiej, jeśli pozwolę, żebyś przeżyła żałobę na swój własny sposób...

Ciasna, niewielka kuchnia była tuż obok salonu, cały czas czułam na sobie uważne spojrzenie dziadka.

- Nie było mnie w twoim życiu aż do teraz, ale wierz mi, wiem, jak to jest, gdy traci się kogoś, kogo się kocha. Twoja mama, Lidia, była przecież moją córką. Oboje doskonale wiemy, że jej śmierć to nie wypadek. A to właśnie ty ich znalazłaś... - urwał. - Proszę, zaspokój ciekawość starego człowieka.

Po raz pierwszy, odkąd przyjechał, jego słowa brzmiały sensownie. Odwróciłam się i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Ja i Annie wracaliśmy samochodem z plaży. Poprosiłam, żeby pojechała Prairie Creek Drive zamiast U.S. 101.

- Dlaczego?

- Bo uznałam, że tak będzie szybciej. - Nie wyjawiałam prawdziwego powodu, że niespodziewanie poczułam, że powinnyśmy nią pojechać.

- Co się stało potem?

- Zobaczyłam samochód taty na poboczu. Zatrzymałyśmy się i ja poszłam w stronę lasu, a Annie została w samochodzie.

- A potem?

Przed moimi oczami pojawiły się migawki z biegu przez las sekwoi.

- Zaczęłam biec. Nie wybierałam kierunku, wiedziałam tylko, że muszę biec dalej, w głąb lasu.

- A później?

- Zobaczyłam monety.

Z odkręconego kranu na talerze lał się strumień wody.

- Co było dalej? - spytał łagodnie dziadek. Odwróciłam się do niego gwałtownie.

- Co się stało? Właśnie to! Znalazłam ich ciała. Nie żyli. Chcesz, żebym przeszła przez to wszystko jeszcze raz? Dobrze wiesz, co się stało, czytałeś raport policyjny, powiedziałam im wszystko, co wiedziałam!

Odwróciłam się do zlewu, otarłam oczy.

- Przepraszam - odezwał się łagodnie. - Wiem, że to dla ciebie bardzo trudne; najpierw śmierć rodziców, a teraz moja obecność. To niesamowite, że los zetknął nas ze sobą po tylu latach. Ale zastanów się: czy nie wydało ci się dziwne, że znalazłaś samochód taty na poboczu drogi, że odszukałaś ciała rodziców ponad półtora kilometra na północ od samochodu? Las zajmuje prawie osiemset kilometrów kwadratowych, a tobie udało się na nich trafić w ciągu trzydziestu minut!

- Może to... przypadek? - Tak w każdym razie uważała policja.

Dziadek uniósł białą krzaczastą brew.

- Tak myślisz?

- Co sugerujesz?

- Niczego nie sugeruję - zapewnił. - Próbuję tylko zrozumieć.

- Nie wiem, dlaczego udało mi się ich znaleźć. Tosię po prostu stało. Nie myślałam, dokąd biegnę, po prostu biegłam.

Dziadek już miał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Odchylił na oparcie fotela i oparł podbródek na dłoniach. Wyglądał na zafrasowanego.

- Powinnaś mieć nowe buty. Te są zbyt dziecinne dla osoby w twoim wieku. Wybierzemy się na zakupy w przyszłym tygodniu.

Kompletnie zbита z tropu, popatrzyłam na swoje trampki i się wkurzyłam. Przyjeżdża tu z tymi swoimi pytaniami, zasadami i godziną policyjną, zmusza mnie, żebym na nowo przeżywała chwile, o których chcę jak najszybciej zapomnieć, rozwała moje i tak zrujnowane życie, a teraz jeszcze chce wyrzucić moje ukochane trampki!

- Nie chcę nowych butów! - krzyknęłam. - Chcę z powrotem moich rodziców! - Pobiełam na górę, trzasnęłam drzwiami i siadłam na podłodze. Bez zastanowienia zadzwoniłam do Annie, podniosła słuchawkę po trzecim sygnale. - Muszę się stąd wydostać - sapnęłam. - Przyjedziesz po mnie?

- Będę za dziesięć minut.

Pojechałyśmy na przystań. W ciągu ostatnich dni rzadko widywałam Annie. Gdy tamtej nocy nie wróciłam z lasu, wezwała policję, przyjechali i zaczęli mnie szukać. Gdy znaleźli mnie przy ciałach rodziców i zabrali do domu, Annie nie pytała, co widziałam ani jak się czuję. Poczułam ulgę, że nie wie, co powiedzieć - bo i ja nie wiedziałam. Jak mogłabym jej wyjaśnić, że gdy zmarli moi rodzice, ja również umarłam? Że już nic nie jest ważne? Że wszystko, co kochałam: lacrosse, plaża, książki, historia, filmy, zupełnie straciło sens?

Potem wokół mnie kręcili się ludzie - sąsiedzi, dziewczyny z drużyny, krewni, ludzie z miasta - którzy przychodzili i mówili, że znali moich rodziców i że też ich im brakuje. Po raz pierwszy w życiu cieszyłam się, że rodzice nie kupili mi komórki, miałam o jeden problem mniej. Co chwila pojawiali się policjanci, zadawali pytania. „Czy wiesz, dlaczego rodzice byli tamtego dnia w lesie? Może ostatnio zachowywali się nietypowo? Może mieli jakichś wrogów?”

„Nie - odpowiadałam. - Nie. Nie”.

Ale najgorsze było to, że nie mogłam zrozumieć, co się dzieje. Przyczyną śmierci rodziców rzekomo miał być atak serca, co nawet mogłoby być prawdopodobne, gdyby nie okoliczności. Jednoczesna śmierć, w tej samej chwili, z tego samego powodu? Czy to nie zbyt duży zbieg okoliczności? Sekcja zwłok wykazała, że na ciałach nie było żadnych śladów przemocy, żadnej walki, w ogóle niczego niezwykłego, z jednym wyjątkiem: w ich ustach znaleziono ziemię i strzępki białego materiału. Gdy spytałam, czy to jakiś szczególny materiał, odpowiedziano mi, że zwykła gaza, którą można kupić w każdej aptece. Ale nikt nie potrafił mi wyjaśnić, czemu znalazła się w ich ustach.

Zdaniem policji powodem ataku serca był wypadek podczas marszu. Oczywiście nie uwierzyłam w to wyjaśnienie. „Jaki wypadek?! - krzyczałam na policjantów, lekarzy i pielęgniarki. - Oboje nie mogli umrzeć na atak serca dokładnie w tej samej chwili! To niemożliwe! Byli zupełnie zdrowi! Powinni być w pracy! Mieli w ustach gazę! Czy to jest normalne?!” Patrzyli na mnie ze współczuciem, jakbym zwariowała i mówili, że to straszna tragedia, że rozumieją i że zrobią wszystko, żeby wyjaśnić tę sprawę. Ja jednak wiedziałam, że jest za mało dowodów. Czyżby moi rodzice zostali zamordowani? Dlaczego ktoś miałby pragnąć ich śmierci? Dlaczego las, skąd monety i gaza? Jeśli ktoś to zrobił, nie był to przypadek. Teraz jest na wolności i gdzieś się czai. Ale dlaczego mama wyglądała po śmierci dużo starszej niż jeszcze dzień wcześniej? Jak to możliwe? Może po prostu wybrali się na wycieczkę i dostali ataku serca. Albo popełnili samobójstwo. Traciłam rozum.

Gdy przyjechał dziadek, rozmawiał z policją bardzo spokojnie, udzielając lakonicznych odpowiedzi: „Tak. Nie. Nie wiem”. Ponieważ jednak od dawna nie miał kontaktu z moimi rodzicami, nie naciskano go.

Ja i Annie dojechałyśmy do przystani, zdjęłyśmy buty i poszłyśmy się przejść po kamienistej plaży, przy pomocy po przeciwnej stronie zatoki. Zarówno pomost, jak i łodzie, w dzień tak kolorowe, teraz wydawały się niebieskawe.

- Dzięki, że przyjechałaś. - Zanurzyłam czubki palców w wodzie.

- Zawsze do usług. - Annie usiadła na kamieniach. - Rozmawiałam z Wesem... - urwała, spojrzałam na nią wyczekująco. - Pytał o ciebie. Chciał wiedzieć, jak tam... no wiesz. Mówił, że dzwonił do ciebie, ale nie odebrałaś i nie oddzwoniłaś.

- Dzwonił? - zapytałam zaskoczona. Zupełnie o nim nie myślałam przez ostatni tydzień, nie przyszło mi nawet do głowy, że mógł się o mnie martwić. Od tamtej nocy w lesie telefon dzwonił prawie bez przerwy, przyjaciele, sąsiedzi, policja, firmy ubezpieczeniowe... W końcu po prostu przestałam podnosić słuchawkę, zostawiając załatwianie tych spraw dziadkowi.

- Mówił, że zostawił wiadomość na sekretarce. Chciał jedynie zapytać, jak się czujesz.

- Czuję się tak, jakby całe lata minęły od czasu, gdy widziałam go po raz ostatni - rzuciłam bardziej do siebie niż do Annie i się uśmiechnęłam. Po raz pierwszy od śmierci rodziców poczułam coś innego niż odrętwienie. Pomyślałam o Wesie, jego szorstkim podbródku, gładkich umięśnionych rękach, brązowych kręconych włosach, o jego dłoni na moim karku, gdy mnie całował, i przez chwilę miałam wrażenie, jakby nic się nie stało i że wrócę do dawnego życia. Od śmierci rodziców nic nie czułam, a przez ostatni tydzień byłam jak w transie - moje ciało przemieszczało się po domu, ale bez udziału mózgu, który wydawał się martwy.

I teraz nagle zapragnęłam poczuć ból, szczęście, nieważne! Popatrzyłam na wodę, była zupełnie gładka, jakby nocne powietrze naciskało na nią.

Nie miałam na sobie kostiumu, ale to było bez znaczenia, nocą nikogo tu nie było. Rozebrałam się szybko i wskoczyłam do wody; płuca ścisnęły się pod wpływem szoku spowodowanego nagłą zmianą temperatury, słona woda szczypała w oczy.

Wynurzyłam się i zobaczyłam, że Annie wchodzi do wody, jedną ręką przytrzymując włosy. Chlapnęłam na nią wodą, krzyknęła cicho. Zanurkowałam i popłynęłam w głąb zatoki. Wokół mnie łodzie kołysały się, ich odbicia ciągnęły się aż po horyzont. Popatrzyłam na brzeg, Annie leżała przy skałach i wpatrywała się w niebo, a potem zerknęłam na wodę. Zobaczyłam, jak coś wynurza się na powierzchnię.

Było okrągłe i duże, trupio blade w długich postrzępionych szmatach, które poruszały fale. Wrzasnęłam i zaczęłam szybko płynąć do brzegu, młócąc rękami wodę.

- Co się stało? - spytała osłupiała Annie.

- Tam coś pływa. - Pokazałam na zatokę. Annie wstała i spojrzała na wodę.

- Boja - odparła w końcu.

- Myślałam - dyszałam ciężko - myślałam, że to ciało...

Annie popatrzyła na mnie zaniepokojona.

- To tylko boja z wodorostami.

Speszona, zamrugałam i zmusiłam się do spojrzenia na wodę. Odetchnęłam z ulgą. Annie miała jednak rację.

- Przepraszam - sapnęłam. - Chyba zaczynam wariować.

W tej samej chwili ktoś poświecił na wodę reflektorem.

- Kto tam jest?! - zawołał głos z przycumowanej łodzi.
 - A niech to! - Nie chciałam, żeby ludzie zobaczyli mnie w samej bieliźnie. - Spadajmy stąd.
- W świetle księżyca pobiegliśmy do brzegu.

Annie podwiozła mnie do domu, wśliznęłam się przez tylne wejście, mając nadzieję, że dziadek jest już w łóżku. Właśnie przechodziłam przez kuchnię, gdy w drzwiach zamajaczyła jakaś postać. Znieruchomiałam i wymruczałam:

- O cholera.
- Widzę, że pływałaś - odezwał się dziadek. Nawet teraz miał na sobie drogi tweedowy garnitur.
- Dusiałam się tutaj.

Mój sarkazm nie uszedł jego uwagi.

- Myślisz, że to zabawne? - zapytał ostro, a ja podskoczyłam, zaskoczona. - Mogłaś zostać zamordowana! Myślisz, że ustaliłem te zasady złośliwie? Że narzucam ci je tylko po to, żeby cię karać?

- Zamordowana... Tak jak moi rodzice, prawda? Może to wcale nie byłoby takie złe, biorąc pod uwagę, że wtedy nie musiałabym żyć tak jak teraz.

Dziadek przyglądał mi się uważnie, a ja stałam, przyciskając bluzę do piersi i czekając, co powie. Było tak cicho, że słyszałam, jak woda z moich włosów kapie na linoleum.

- Przykro mi, jeśli tak się czujesz - powiedział. - Nie to było moim zamiarem. Wysusz się i prześpij, porozmawiamy rano. Myślę, że uda nam się w końcu dojść do porozumienia.

Rano obudziłam się późno. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu dziadek pozwolił mi przespać śniadanie, jednak zamiast cieszyć się z tego małego zwycięstwa, zaczęłam coś podejrzewać. Zeszłam po cichu na dół, dziadek był w salonie, siedział w fotelu taty z gazetą na kolanach. Dustin właśnie zabierał filiżankę i spodeczek ze stolika obok. Weszłam do pokoju, usiłując nie zwracać na siebie uwagi.

- Renee - odezwał się dziadek niemal ciepło. - Podejdz, proszę. - Wskazał sofę naprzeciwko siebie.

Ubrany był w spodnie, elegancką marynarkę i jedną z tych koszul z podwójnymi mankietami, które Dustin krochmalił i prasował co wieczór. Jego rzadziejące białe włosy, zwykle nienagannie uczesane, teraz były zmierzwiłone z jednej strony, pewnie dlatego, że opierał głowę na rękę. Napił się wody, a ja czekałam na karę.

- Siadź, proszę - powtórzył.

Dustin odsunął krzesło, położył serwetkę i nakrycie.

- Dużo o tobie myślałem... - ciągnął dziadek.

Skubałam spodenki i przyglądałam się jego wielkiemu czerwonemu nosowi - był tak ogromny, że aż trudno było wyobrazić go sobie na innej, młodszej twarzy.

- ..i zdecydowałem, że wyślę cię do szkoły - oznajmił w końcu.

Pokręciłam głową.

- Słucham? Ja już chodzę do szkoły.

- Mówię o elitarniej szkole z internatem.

Wstałam, wzburzona. Całe moje życie było tutaj: Annie, przyjaciele, nauczyciele, ludzie, wśród których dorastałam... Byli wszystkim, co mi zostało! Teraz szłam do drugiej klasy, byłam w reprezentacji szkoły w lacrosse, dostałam się na rozszerzoną historię, normalnie niedostępną dla drugoklasistów... Poza tym tutaj mieszkał Wes...

- Nie możesz tego zrobić! - krzyknęłam, choć wcale nie byłam tego taka pewna. Jak mógł mnie stąd zabrać, skoro moje życie właśnie się zaczynało?

Splótł dłonie na kolanie.

- Najwyższa pora, żebyś uzyskała właściwą, klasyczną edukację. Wiem dobrze, jak funkcjonują dzisiejsze szkoły, pozwalając młodym ludziom wybierać to, co im się podoba. To nieskuteczna metoda, udowodniono to wielokrotnie. Akademia Gottfrieda jest szkołą, która istnieje od stuleci i jestem pewien, że da ci te same podstawy, jakie dała twojej mamie.

Już miałam mu przerwać, ale wzmianka o mamie powstrzymała mnie. Nie wiedziałam, że chodziła do szkoły z internatem. Dużo opowiadała o swoim dzieciństwie, o liceum, o tym, jak poznała tatę, ale nigdy nie wspomniała, że była w szkole z internatem, w dodatku prestiżowej, ani o tym, że tata też tam chodził, a przecież musiał, skoro poznali się na angielskim. Czemu to przemilczała?

- Nigdzie się nie wybieram - rzuciłam wyzywająco. - I nie możesz mnie zmusić.

Westchnął i pokręcił głową.

Ależ mogę i zrobię to. Twoi rodzice mi zaufali. Moim obowiązkiem, jako prawnego opiekuna, jest zynienie tego, co uważam za najlepsze dla twojej przyszłości.

- Wcale cię nie lubili! Nie chcieli, żebym się z tobą widywała! Skąd możesz wiedzieć, co jest dla mnie najlepsze? W ogóle mnie nie znasz!

- Być może - powiedział spokojnie. - Ale to nie /mienia faktu, że się tobą opiekuję, a ty jesteś niepełnoletnia. Nie zamierzam tolerować takiego braku szacunku. Wiem o tobie więcej niż ty sama. Usiądź, proszę.

Wzdrygnęłam się i usiadłam.

- Czy ci się to podoba, czy nie, jestem twoim opiekunem i zaczniesz naukę w Akademii Gottfrieda. Porozmawiamy szczerze i otwarcie. Nie jesteś tu bezpieczna, Renee.

- Co masz na myśli?

- Twoi rodzice nie żyją. Nie wiem dlaczego, nie wiem, kto i dlaczego ich zabił, ale z całą pewnością nie zmarli śmiercią naturalną.

- Ale policja...

- Policja uważa, że zmarli na atak serca. Myślisz, że to prawda?

- Nie.

- Ja też nie.

- No to... no to co z tego? Myślisz, że ktoś ich zamordował? Myślisz, że ktoś gonił ich po lesie i w końcu zabił?

Dziadek pokręcił głową, jego obwisłe policzki zafalowały.

- Nie wiem, Renee. Wiem tylko, że nie żyją, i to nie był wypadek. Właśnie dlatego musimy stąd wyjechać. Natychmiast.

Mój mózg pracował na pełnych obrotach. Mogę uciec i zamieszkać z Annie i jej rodzicami. Albo uciec daleko stąd i jeździć pociągami. Muszę pogadać z Annie. Może zdoła przekonać swoją mamę, żeby mnie adoptowała.

Dziadek chyba wyczuł moje zdenerwowanie.

- Wyjeżdżamy jutro rano. Jeśli zajdzie taka potrzeba, wsadzę cię do samochodu siłą.
- Jutro?! Nie mogę wyjechać jutro! A moi przyjaciele?!

Nie obchodziło mnie, czy na zewnątrz czai się jakiś morderca, który pragnie poćwiartować mnie na kawałki. Miałam zamiar tu zostać i dowiedzieć się, co się stało z moimi rodzicami.

- Nigdzie nie jadę - sprzeciwiłam się stanowczo. - Ani z tobą, ani z twoim głupim kamerdynerem.

Dustin chrząknął w kącie pokoju, ale mnie było już wszystko jedno.

- Nie ma czasu na takie sprzeczki - rzekł dziadek. - Za tydzień zaczyna się nowy rok szkolny i powinnaś być wdzięczna, że przyjmą cię do akademii mimo tak późnego zgłoszenia. Gdyby nie moje koneksje, w ogóle nie rozpatrywaliby twojej prośby.

- Nie rozumiem - wściekałam się. Czułam, że oczy pieką mnie od łez. - Czemu uważasz, że w innej szkole będzie bezpiecznej? Czemu po prostu nie pójdziemy na policję?

- Policja już tu była. I cóż, okazali się pomocni? Akademia Gottfrieda to bezpieczne miejsce. Na korytarzu przed twoim pokojem stoi walizka. Nie bierz zbyt wielu rzeczy. Pogoda na Wschodnim Wybrzeżu jest zupełnie inna, a w akademii obowiązują mundurki. - Zmierzył wzrokiem moje szorty i podkoszulek. -

Śmiem twierdzić, że twoja obecna garderoba zupełnie ci się tam nie przyda. Na miejscu znajdziemy ci coś bardziej odpowiedniego.

- Na Wschodnim Wybrzeżu? - Myślałam, że się przestyszałam.

- Akademia znajduje się w północnej części Maine. Omal nie spadłam z krzesła. Spodziewałam się, że jest godzinę, najwyżej dwie godziny od Costa Rosa, ale przeprowadzka do Maine to zupełnie inna sprawa! Nigdy w życiu nie byłam na Wschodnim Wybrzeżu. Oczyma wyobraźni ujrzałam surowych, bezimiennych ludzi ubranych na czarno i długie mroźne zimy. To jakiś koszmar!

- Nigdzie nie jadę! - zawołałam. - Nie będę... Ale dziadek mi przerwał.

- Naprawdę myślisz, że twoi rodzice chcieliby, żebyś tu została, snując się po domu i rozczulając nad sobą, tak jak robiłaś to przez ostatni tydzień? - Spojrzał na mnie chłodno. - Nie, chcieliby, żebyś żyła dalej własnym życiem. I to właśnie zrobisz.

Rozmowa była skończona, wyleciałam z pokoju jak z procy. Nie obchodziło mnie, co mówił dziadek, nie miałam zamiaru wyjeżdżać do Nowej Anglii. Musiałam coś wymyślić. Usiadłam na parapecie. Przez łzy patrzyłam na gorące powietrze, które wibrowało nad chodnikiem w porannym słońcu. To niewiarygodne - minął zaledwie tydzień, a moje życie zmieniło się nie do poznania. Mama i tata nie żyli, a ja nie wiedziałam, co mnie czeka. Ale nie czułam strachu. Wybrałam numer Annie, zamknęłam oczy i obiecałam moim rodzicom, że zawsze będę cenić życie.

Akademia Gottfrieda

Gdy powiedziałam Annie o akademii, zareagowała jeszcze bardziej histerycznie niż ja.

- Nie możesz się wyprowadzić! Kto będzie moją najlepszą przyjaciółką? A twoją? Zamieszkać ze mną, nareszcie będziemy prawdziwymi siostrami, tak jak chciałyśmy w dzieciństwie. Możesz wciąż gabinet...

Dokładnie to samo chciałam jej zaproponować, ale teraz zrozumiałam, jak bardzo jest to nierealne. Annie miała dwóch młodszych braci i siostrę, co oznaczało brak wolnych pokoi. Gdyby moi rodzice żyli, chcieliby, żebym była dzielna i niezależna. Ukrywanie się w domu przyjaciółki nie rozwiąże moich problemów. Poza tym jedyne miejsce, w którym tak naprawdę chciałam się znaleźć, to mój dom razem z rodzicami, a tak już nigdy nie będzie.

Niespodziewanie zaczęłam pocieszać Annie.

- Daj spokój, a gdzie będzie pracował twój tata?

- W kuchni. Albo w salonie. Miejsce się znajdzie. Westchnęłam.

- Nie mogę tego zrobić. Twoja mama i tak ma już za dużo na głowie.

- Ale co ze szkołą? Ze znajomymi? Z Wesem? Skrzywiłam się na samą myśl, że będę musiała zostawić ich wszystkich. A jednak musiał być jakiś powód, dla którego rodzice zdecydowali się właśnie na dziadka, a nie mamę Annie.

- Może w Maine nie będzie aż tak źle? Skoro moi rodzice tam wytrzymali, to i mnie się uda. Poza tym będziemy codziennie do siebie dzwonić, będę przyjeżdżać na wakacje i święta...

Po tej płaczącej rozmowie ustaliłyśmy, że spotkamy się wieczorem na Baker's Field.

Spędziłam mój ostatni dzień w Kalifornii, udając, że się pakuję, w nadziei, że jeśli nie skończę do rana, to wyjazd jakimś cudem zostanie przełożony. Włóczyłam się po domu. Usiłowałam zapamiętać wszystkie szczegóły. Delikatny zapach chleba, miękki dotyk dywanu pod stopami, skrzypiące schody... W końcu poszłam do gabinetu taty. Jego papiery nadal zaścielały biurko; nie chciałam na nie patrzeć, odsunęłam je i usiadłam przy komputerze. Najpierw wrzuciłam w wyszukiwarkę „atak serca”, chcąc się dowiedzieć, co może go spowodować. Gdy wyskoczyło mi ponad milion stron, zmieniłam zapytanie na „atak serca i gaza w ustach”. Wyników było mniej, ale ograniczały się do powikłań w czasie zabiegów stomatologicznych i zębów mądrości. Po kolejnych próbach „atak serca, gaza i monety”, „podwójny atak serca i gaza w ustach”, które nie dały mi nic prócz sugestii: „Czy chodziło ci o: »Podwójny atak serca, baza w USA?«”, sfrustrowana wpisałam: „Akademia Gottfrieda”.

Wyrzuciło jedną jedyną odpowiedź. Kliknęłam i znalazłam się na prostej stronie, ze złoto-niebieską ramką (zapewne barwy szkoły) i napisem:

„Akademia Gottfrieda

Vox sapientiae clamans ex interno

Szkoła z internatem poświęcona studiom natury egzystencjalnej, w samym sercu Gór Białych. Kontakt:

207 Attica Crossing, skrzynka pocztowa 4 Attica Falls, Maine 04120"

Pod spodem były herb i bardzo realistyczny szkic budynku, pewnie szkoły. Kamienny i neogotycki, otoczony gigantycznym murem, wyglądał jak wyjęty ze średniowiecza. Gdyby na rysunku znalazły się jeszcze zagroda dla świń i wodopój, obraz dopełniłby całości. Niebo nad gmachem pokrywały złowieszcze chmury. Zaciekawiona, sprawdziłam pogodę w Attica Falls na najbliższy tydzień - zimno i deszczowo. Codziennie.

No dobrze, ale co to za dziwaczna szkoła? Otworzyłam nowe okno i wrzuciłam „egzystencjalny”. Słownik zdefiniował to jako „dotyczący egzystencji”. Jakże pomocne, pomyślałam i wróciłam do strony akademii. Kliknęłam herb, potem „kontakt”, usiłując wejść głębiej, ale okazało się, że nie ma żadnych podstron. Sfrustrowana zamknęłam okno. W samym sercu Gór Białych nie mają widocznie ani normalnej pogody, ani porządnego informatyka czy webmastera. Fantastycznie. Po całych stuleciach ewolucji technicznej cofnę się w czasie.

Wyłączyłam komputer i wyszłam na korytarz. Przez cały tydzień nie wchodziłam do pokoju rodziców; podchodziłam do drzwi, kładłam rękę na klamce, wyobrażając sobie, że są w środku i śpią. A teraz, nie mając już nic do stracenia, weszłam.

Pokój wyglądał dokładnie tak samo jak zawsze: pościelone łóżko, książki na szafce, drzwi od szafy otwarte, na nich ubrania mamy. Gałęzie uderzały w okno, było wczesne popołudnie. Na stoliku nocnym mrugała automatyczna sekretarka - skrzynka była zapchana. Kilka wiadomości od Annie, od koleżanek ze szkoły, z firmy ubezpieczeniowej i od jakichś ludzi, których nie znałam. Przewijałam je, dopóki nie usłyszałam głosu Wesa. „Renee. Tu Wes. Słyszałem, że... no wiesz... Chciałem się tylko dowiedzieć, jak się czujesz i powiedzieć, że mi przykro. Tak strasznie mi przykro...” Przewinęłam do następnej. „To znowu Wes. Pewnie jesteś zajęta, ale chciałem się tylko przywitać, no więc... cześć. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miała ochotę pogadać”. Usiadłam na łóżku, przytuliłam do siebie poduszkę. „Cześć, to znowu Wes, dzwonię, żeby spytać, co słychać. Pomyślałem, że może potrzebujesz z kimś pogadać... To chyba wszystko”. Przewinęłam taśmę i wśliznęłam się pod kołdrę. Wdychałam zapach moich rodziców i słuchałam głosu Wesa, dopóki nie zasnęłam.

Wieczorem wymknęłam się z domu. Mój rower stał oparty o ścianę w tym samym miejscu, w którym zostawiłam go dwa tygodnie temu. Po cichu wyprowadziłam go na podjazd, w oddali zaszczekał pies. Wzdrygnęłam się i zawołałam:

- Hej? - A potem zaśmiałam się z własnej głupoty. Zerknęłam na okno pokoju dziadka i pojechałam do Baker's Field.

Stadion był szeroki i płaski, niesamowicie cichy, miejsce, w którym czas się zatrzymał. Reflektory już wyłączono, jedyne oświetlenie dawały gwiazdy. Było pusto, nie licząc poświaty z lewej strony, usłyszałam śmiech i specyficzny odgłos otwieranych puszek piwa. Zsiadłam z roweru i poszłam w stronę głosów.

Najpierw zobaczyłam Annie. Stała z kilkoma dziewczynami ze szkoły, na mój widok podbiegła.

- Renee! - zawołała, ściskając mnie. - Jesteś! Już zaczęłam się martwić!

Patrzyłam zupełnie osłupiała na tych wszystkich ludzi. Dziewczyny z drużyny siedziały na trawie, znajomi z lekcji historii stali przy trzech lodówkach turystycznych wypełnionych piwem. Z tyłu zobaczyłam chłopców z drużyny futbolowej, którzy z kilkoma kumplami z wyższych klas pili coś i palili, końcówki papierosów jarzyły się w ciemności.

- Co się tu dzieje? - zapytałam.

- To twoje przyjęcie pożegnalne! Chyba nie sądzisz, że pozwoliłabym ci wyjechać bez zobaczenia się ze wszystkimi?

Przyjęcie pożegnalne. Takie zwyczajne, takie obce. W obliczu śmierci moich rodziców wydawało mi się dziwne, że takie rzeczy jak imprezy nadal mają miejsce. Uśmiechnęłam się, przytuliłam Annie, wyszeptałam:

- Będę za tobą tak okropnie tęsknić!

Z tyłu zamajaczyła sylwetka wysokiego chłopaka, o którym nie chciałam myśleć. Wes. Annie rzuciła mi zagadkowe spojrzenie i poszła porozmawiać z przyjaciółmi. Wes podszedł i powiedział łagodnie:

- Niespodzianka.

Wyglądał, jakby dopiero co zszedł ze stron katalogu reklamującego sprzęt do surfowania, jego postrzępione szorty i wypłowiałą koszulkę targał wiatr. Zdenerwowałam się, przełknęłam ślinę i poprawiłam grzywkę, mając nadzieję, że nie wyglądam na kogoś, kto nie spał dobrze od tygodnia, nawet jeśli była to prawda.

- Wyglądasz wspaniale - odparł.

- Dzięki. - Zaczerwieniłam się.

- Martwiłem się o ciebie.

- Byłam bardzo... - urwałam, próbując znaleźć właściwe słowo - zajęta. Nie chciałam...

- Daj spokój. Nie musisz się tłumaczyć. Odetchnęłam z ulgą. W niewiarygodny sposób Wes potrafił sprawić, że wszystko stawało się proste.

- Przejdziemy się?

Skinęłam głową. Wziął mnie za rękę, szliśmy przez tłum, witając się ze wszystkimi. To niesamowite, że przyszli tu tylko po to, żeby się ze mną pożegnać. Przecieliśmy boisko i dotarliśmy do trybun. Weszliśmy na samą górę; metalowe stopnie dudniły pod naszymi stopami. Wes próbował mówić o wakacjach, drużynie i szkole, ale nie potrafiłam podtrzymać rozmowy. W końcu opowiedziałam mu o akademii.

- To tylko nowa szkoła, prawda? - zapytał po chwili ciszy. - Nadal będziemy się spotykać.

- To jest w Maine.

- Och - westchnął i zapadła cisza. - Ale będziesz wracać do domu na weekendy - odezwał się w końcu. - Będziemy rozmawiać i zanim się obejrzymy, znów będą wakacje.

Nocny wiatr przywiał głosy z dołu. Ci ludzie byli częścią świata, do którego już nie należałam. Nie potrafiłam rozmawiać z nimi o szkole, sporcie czy lekcjach, to miejsce stało się dla mnie przeszłością, pogrzebaną razem z rodzicami. Chciałam powiedzieć Wesowi, jak strasznie tęsknię za rodzicami i jak to boli, że czuję się okropnie samotna. Nie mogę ani spać, ani jeść, bo to wszystko nie ma sensu. Chciałam mu opowiedzieć o okolicznościach, w jakich zginęli, że się boję i że gdzieś niedaleko jest ktoś na tyle zły, kto mi ich odebrał. Chciałam, żeby mnie zapewnił, iż mnie uratuje przed dziadkiem i razem dokądś wyjedziemy. On by mnie chronił, a ja byłabym szczęśliwa. To było idiotyczne, kompletnie nierealne marzenie, ale nie mogłam pozbyć się nadziei, że jednak tu zostanę.

Wes spytał, czy mi nie jest zimno, i otulił mnie swoją bluzą. Siedzieliśmy w ciszy, słuchając śmiechu przyjaciół, pragnąc, żeby to nie był nasz ostatni wspólny wieczór i usiłując się przekonać, że jeśli tylko będziemy bardzo chcieli, zdołamy to przetrwać. Bałam się odezwać, żeby nie zniszczyć magii tej chwili.

- Będę za tobą tęsknił - szepnął w końcu Wes.

To nie rozwiązywało moich problemów, ale wystarczyło.

- I ja... - zaczęłam, ale położył palec na moich ustach. Jego skóra była ciepła, nad górną wargą lśniły kropelki potu. Patrzyłam na niego, a on splótł palce z moimi, pochylił się i mnie pocałował. Chłodny, mokry pocałunek pachnący latem, rosą, świeżo skoszoną trawą, tymi wszystkimi rzeczami, które wydawały się zbyt proste, by były prawdziwe.

To była moja ostatnia noc w Kalifornii.

Wylądowaliśmy w Massachusetts, gdzie czekał na nas Dustin, resztę drogi pokonaliśmy samochodem. Droga na głąb Gór Białych była długa i wąska. Siedziałam wciśnięta w tylne siedzenie astona martina dziadka, robionego na zamówienie, a Dustin jechał przez okolice Nowej Anglii, wzgórze, doliny i wielkie połacie lasów.

- To zachodnia część Massachusetts - odezwał się dziadek. - Kolebka transcendentalizmu.

Transcendentalizmu? Zabrzmiało jakby znajomo, słyszałam o tym, chyba na angielskim. Emerson, zdaje się, i Thoreau? Dokładnie nie pamiętałam, a nie chciałam pytać dziadka. Otworzyłam okno, pozwalając, żeby wiatr rozwiewał mi grzywkę.

Przyjechaliśmy przez most, minawszy lasy, kamieniste strumienie i nieliczne drewniane domy. Wyglądałam przez okno, przyklejając się do skórzanego siedzenia; drzewa, które zwykle wyglądały pięknie, teraz wydawały się posępne i mroczne.

W końcu samochód zwolnił i wjechał na długi, wysypany żwirem podjazd z małymi latarniami, który prowadził do wiktoriańskiej rezydencji otoczonej całymi hektarami nienagannych trawników. Zatrzymaliśmy się przed marmurową fontanną; po prawej stronie dwaj mężczyźni w zielonych swetrach klęczeli przy krzaku róży, obok nich leżały szpadle i sekatory.

Dustin otworzył moje drzwi.

- Panno Winters - powiedział i skłonił się lekko. Wsiadłam, nie odrywając osłupiałego wzroku od rezydencji. Nad wejściem widniał napis „Posiadłość Wintershire”.

- To tutaj.

- Dziękuję, Dustinie - rzekł dziadek, gramoląc się z samochodu.

- To już akademia? - spytałam.

- Nie do końca. Robimy małą przerwę. Ogrodnicy odwrócili się i wstali, gdy dziadek przechodził obok nich.

- To twój... twój... - szukałam odpowiedniego słowa. - Dom?

Dziadek się uśmiechnął.

- Tak, to mój dom. Transcendentalny, nieprawdaż?

Wprawdzie nie do końca rozumiałam sens tego słowa, ale wydało mi się bardzo na miejscu. Takie domy widywałam jedynie na filmach i sądziłam, że można je spotkać wyłącznie na francuskich wsiach czy na angielskich wrzosowiskach. Nie przypuszczałam, że są również w Ameryce i że jeden z nich należy do mojego dziadka.

Drzwi frontowe otworzyły się, ukazując olbrzymi hol z podłogą w czarno-białą kratkę i wielkimi żyrandolami. W oknach wisiały ciężkie kotary. Wpuszczały do środka słabe światło. Po obu stronach holu wznosiły się schody prowadzące do skrzydeł wschodniego i zachodniego. Pomiedzy nimi w ścianie umieszczono różę wiatrów, a niżej znajdował się wysoki zegar stojący, którego mosiężne wahadło poruszało się leniwie. Jakże stosownie i na miejscu.

- Dustin oprowadzi cię po rezydencji, a ja w tym czasie załatwię kilka niecierpiących zwłoki spraw.
- To nie zostaniemy tutaj?
- Tylko na jedną noc. - Uśmiechnął się i zostawił mnie z Dustinem.

Zwiedzaliśmy kolejne pokoje, z których każdy miał swoją nazwę i styl.

- Oto Biblioteka w Krate - oznajmił Dustin, gdy weszliśmy do ośmiokątnego pokoju z mahoniową podłogą i niezliczonymi półkami pełnymi książek w skórzanych oprawkach. Dotknęłam drabiny, która stała oparta o ścianę, zupełnie jak na filmach.

Następnie przeszliśmy do Pokoju Czerwonego, który był aksamitnym salonikiem, zapewne dla pań. Dustin otworzył przede mną drzwi, wpuszczając mnie do środka i zostając na zewnątrz. Stały tu pluszowe otomany i maleńkie stoliczki, na których mogłyby się zmieścić jedynie filiżanka i spodeczek.

Następnie był Pokój Pergaminowy, gabinet, w którym stał stary komputer, nieużywany od lat. Z przodu były maszyna do pisania, pudełko z taśmami i plik kartek oraz kilka drogich długopisów. Szliśmy dalej, każde następne pomieszczenie wydawało się jeszcze wspanialsze od poprzedniego. Usiłowałam zapamiętać nazwy, ale w końcu wszystko mi się pomieszało:

Salon Dziesięciu Gier

Salonik Hearsta

Hol z Marmuru i Szkła

Galeria Verlaine'a

Cisza Równikowa: Piwniczka z Winami Palarnia Augusta I wreszcie: Salon Drugi.

To był zwyczajny salon, może trochę bardziej elegancki, z perskim dywanem i dwoma kominkami na dwóch końcach pokoju. Były tu wiktoriańskie sofy i kanapy, wielki fortepian, regały, żyrandol wykonany z rogów jelenia. Głowy jeleni i portrety dystyngowanych ludzi ozdabiały ściany.

- Zaczekaj - powiedziałam, gdy Dustin zamykał przeszklone drzwi. - To gdzie jest Salon Pierwszy?

Dustin popatrzył na mnie wzrokiem bez wyrazu.

- Nie ma.

Gdy skończyliśmy oglądać parter i piwnicę, dziadek czekał na nas w holu.

- Dziękuję ci, Dustinie. Teraz ja zajmę się naszym gościem. - I poprowadził mnie schodami na górę.

Na pierwszym piętrze ściany były pokryte tapetami i obwieszone portretami. Mijaliśmy pokoje sypialne, jak wyraził się dziadek, głównie gościnne, chociaż nie potrafiłam wyobrazić sobie dziadka przyjmującego gości.

Na końcu wschodniego skrzydła weszliśmy na spiralne schody, prowadzące do wysuniętej najbardziej na wschód wieży. Na górze był krótki korytarz z oknami i drzwiami na końcu. Dziadek otworzył je, wpuszczając mnie do środka.

To była sypialnia rodem z baśni. Miała wysokie zaokrąglone okna i stożkowaty sufit, na liliowych ścianach wisiały stare lustra i obrazki przedstawiające sielskie widoczki. Na środku pokoju stało gigantyczne łóżko z baldachimem, usłane małymi poduszkami. Z trudem oparłam się pokusie, żeby na nie wskoczyć. Przesunęłam palcem po monogramie na prześcieradłach. L.C.W. Inicjały mojej mamy.

- To był jej pokój - oznajmił dziadek, patrząc, jak się wszystkiemu przyglądam. Pożółkłe papiery na biurku, pudełeczka z kosmetykami i wsuwki do włosów na toaletce. Spod łóżka wystawało pudełko z papeterią. Antyczny

regał był wypełniony podniszczonymi książkami i wyblakłymi obwolutami. Nie potrafiłam wyobrazić sobie mamy mieszkającej w tym pokoju, leżącej wśród tych poduszek. Zawsze była taka pragmatyczna, lubiła sportowe buty i ubrania, których nie trzeba prać ręcznie, duże wygodne kanapy i bibeloty, które nie potłuką się, gdy je upuścisz. Nigdy nie nosiła żadnej biżuterii poza obrączką, rzadko się malowała. I zawsze zachęcała mnie do robienia tego samego.

- Jeśli chcesz, spędź noc w tym pokoju. Myślałem, że to może być... kojące. Oczywiście, jeśli pokój ci się nie podoba, każę przenieść twoje rzeczy do jednego z pokojów gościnnych.

Rozejrzałam się.

- Nie, chcę tu zostać - powiedziałam szybko. Moja walizka, prawie pusta, stała w rogu.

- Dobrze. Dobrze. - Dziadek zaprowadził mnie do dwuskrzydłowych przeszklonych drzwi w rogu pokoju. - A tutaj - przekręcił gałkę - była jej szafa.

Zrobiłam krok do przodu, zapach potpourri zakręcił mnie w nosie. Pociągnęłam za sznurek przy żarówce.

W świetle szafa przeistoczyła się ze składu staroci w zaczarowany buduar wypełniony biżuterią, butami i ubraniami - szykownymi ubraniami, których nigdy przedtem nie miałam okazji oglądać. Już sam widok wprowadził mnie w podniecenie; weszłam głębiej, przesuując rękami po strojach. Jedwab, aksamit, zamsz, tafta, kaszmir, bawełna... Dłuższą chwilę zajęło mi przypominanie sobie, że wcale nie lubię takich ubrań. Były drogie, ekstrawaganckie, snobistyczne. Moi rodzice często mawiali, że nie potrzebuję modnych ciuchów, by wyrazić, kim jestem. Teraz jednak nie mogłam się oprzeć pokusie przymierzenia tych wszystkich rzeczy.

- To należało do twojej mamy, gdy była mniej więcej w twoim wieku. Zdaje się, że masz podobny rozmiar. Tak czy inaczej, to wszystko jest teraz twoje. Ubrania spełniają wymogi regulaminu w akademii, więc możesz wziąć wszystko, co zechcesz.

Zerknęłam na szafę, próbując wyobrazić sobie mamę w moim wieku, ubraną w te wszystkie swetry, koszule, sukienki, buty z okrągłymi noskami i pasczka-mi, kurtki. Nie potrafiłam. Dotknęłam rękawa jakiegoś swetra. Był bardzo miękki.

- No cóż, zostawię cię teraz, obiad podamy o wpół do drugiej.

Skinęłam głową, patrząc na odbicie dziadka w lustrze, gdy wychodził z pokoju.

Następną godzinę spędziłam na przymierzaniu rzeczy mojej mamy. Miała całe pudełko spinek do włosów, i przeróżnych opasek, szuflady pełne jedwabnych piżam, szali, nauszników i wełnianych rękawiczek z jednym palcem. Myślałam, że będą pachniały nią, ale pachniały tylko lawendą, dzięki temu łatwiej mi było zapamiętać, że do niej należały, że jej już nie ma. Jedynym śladem był brązowy włos na swetrze z szerokim golfem. Zdjęłam go i przyjrzałam mu się w świetle. Był dłuższy niż jej włosy. Wyobraziłam ją sobie w jednym ze wzorzystych swetrów, z długimi włosami związanymi wstążką.

- Co ja mam teraz zrobić? - zapytałam mamę schrypniętym głosem. Wyobraziłam sobie tatę obok niej, z krótkimi włosami, z przedziałkiem z boku. Nosił koszulę i krawat, jak na ślubnym zdjęciu. - Tato - zwróciłam się do pustej szafy - co mam zrobić?

Puste wieszaki poruszyły się, zakłócając ciszę. Nagle poczułam złość. To było nie w porządku. Dlaczego właśnie moi rodzice musieli umrzeć? Dlaczego to ja musiałam ich znaleźć? Przez to ciągle widziałam ich ciała leżące w lesie.

Jednym szybkim ruchem strąciłam wieszaki z drążka, upadły na podłogę. Z pasją zaczęłam zrzucać pudełka z biżuterią, kolekcje spinek i opasek, szali, rękawiczek i kapeluszy, a potem usiadłam, płacząc i przytulając ubrania mamy do piersi. Co powiedziała by tata, gdyby tu był? Przypomniałam sobie, jak w zeszłym roku nie dostałam się do drużyny lacrosse'a. „Płacz w niczym ci nie pomoże - zganił mnie wtedy. - Czemu nie potrenujesz? Wtedy będziesz miała szansę dostać się do drużyny w przyszłym roku”. Wytarłam oczy jedną z sukienek mamy, wstałam i podeszłam do lustra. Myślałam, że może zobaczę jakiś jej ślad, ale ujrzałam tylko swoje gęste włosy, grzywkę, która wpadała mi do oczu, piegi, szare oczy, teraz zapuchnięte i czerwone. Czy wyglądałam tak jak ona?

Przetrasnęłam szuflady w poszukiwaniu nożyczek, w końcu znalazłam. Stałam przed lustrem. Wzięłam do ręki kosmyk włosów i go odciąłam. Potem kolejny i kolejny. Zamknęłam oczy. Po chwili moje włosy były o połowę krótsze i sięgały mi do ramion. Poczułam się niespodziewanie wolna, potrząsnęłam głową, loki spadły na ziemię, tworząc płatanię zawijasów. Zadowolona, zdjęłam z wieszaka sukienkę, włożyłam i obejrzałam się w lustrze. Pasowała idealnie.

Po zapakowaniu do trzech walizek mnóstwa spódnic, sukienek, koszul, swetrów, grubych rajstop i zimowych płaszczy, poczułam się przygotowana na wszystko, co mogła mi zgotować pogoda w Nowej Anglii.

- Obciąłaś włosy - zdziwił się dziadek, gdy zeszłam po schodach na obiad.

Skinęłam głową.

- Potrzebowałam zmiany.

- Bardzo ładnie wyglądasz - dodał.

- Dzięki - odparłam ze słabym uśmiechem.

Po lunchu na tarasie, który składał się z herbaty, kanapek i sałatki ogórkowej, Dustin zaproponował mi partyjkę krokieta. Dźwigając młotki do gry, poszłam za nim na trawnik na tyłach domu. Po zaledwie kwadransie wyprzedził mnie o sześć uderzeń. Zmarszczyłam brwi i przygotowałam się do strzału. Nie lubiłam przegrywać. Skoncentrowałam się i uderzyłam z całej siły - a potem oparłam młotek na ramieniu i patrzyłam, jak piłka leci na drugi koniec trawnika, w zupełnie innym kierunku niż powinna. Dustin stłumił chichot, a ja jęknęłam i pobiegłam po nią. Leżała na skraju lasu, w cieniu brzoźowego zagajnika. Dustin zawołał coś, ale go zignorowałam. Szukałam piłki w trawie, gdy nagle moje palce natknęły się na kłębek piór. Zobaczyłam zaschniętą krew i nienaturalnie wygięte kości. Nie mogąc się powstrzymać, wrzasnęłam.

Dustin podbiegł do mnie, zaskakująco żwawy jak na swój wiek i sztywny strój. Przywołał ogrodnika, pojawił się też dziadek.

- Pozbądź się tego, proszę - polecił jednemu z ogrodników i poklepał mnie po ramieniu. - To tylko martwy ptak. Nie ma się czego bać.

- Tak - powiedziałam zakłopotana, że narobiłam takiego szumu. Przecież znajdowałam już martwe zwierzęta.

- Wejźmy do środka.

Zapadł zmierzch. Jedliśmy kolację na końcu nieprawdopodobnie długiego stołu. Rozmawialiśmy o tym, jakie lubię przedmioty. Nie byłam pewna, co odpowiedzieć. Byłam dobra z historii, rodzice uczyli jej w liceum, tata specjalizował się w starożytnej Grecji, mama - w starożytnym Rzymie. Zawsze mnie zachęcali, żebym dużo czytała.

- Ale co ciebie interesuje? - nie ustępował dziadek. Zawahałam się.

- Nie wiem. Lubię czytać. Może biologia, anatomia, sekcja zwłok? Wydaje mi się, że to mogłoby być ciekawe. Ale nigdy nie zajmowałam się tym na poważnie, więc kto wie, czy mi się spodoba.

Popatrzył na mnie zaskoczony.

- Czemu tak mówisz?

- Tata często powtarzał, że nauka jest niedoskonała. Że to jedynie inna forma wróżenia z fusów. Że próbuje wyjaśnić tajemnicę życia i śmierci, używając niezwykle wąskiego zasobu słów. Przynajmniej tak mówił tata.

Dziadek potarł podbródek.

- Rozumiem. Ale może warto spróbować, a nuż twój tata się mylił?

Skinęłam głową. Czy dziadek próbował mnie zachęcić, żebym podjęła pierwszą samodzielną decyzję? Może wcale nie był taki zły?

Gdy dziadek poszedł spać, zapaliłam światło przy łóżku, oglądając pokój mojej mamy. Był niczym doskonale zachowana ekspozycja w muzeum, jakby moja szesnastoletnia mama poszła na randkę z tatą i miała niedługo wrócić, wślizgując się przez tylne drzwi. Przesunęłam palcami nad jej perfumami, porcelanowymi figurkami, ołówkami i długopisami, nie dotykając ich, nie naruszając ich spokoju. Miała mnóstwo książek, głównie powieści fantazy i bajki, stare zeszyty od matematyki, przynajmniej tak wyglądały, pełne cyfr i równań, i bruliony do angielskiego. Na marginesach widniało imię taty. Przesunęłam palcami po literach. „Robert Redgrave”. Wyobrażałam sobie, jak to było, gdy oboje mieli tyle lat co ja i przesyłali sobie liściki na lekcjach. Ziewnęłam, przytuliłam zeszyt do piersi i wśliznęłam się do łóżka. W otoczeniu jej rzeczy wreszcie poczułam się bezpieczna i po raz pierwszy od tygodni przespałam spokojnie całą noc.

Wyjechaliśmy wcześniej rano. Dustin wiozł nas wśród trawiastych wzgórz Vermontu, granitowych szczytów New Hampshire do Gór Białych w Maine. Było już późne popołudnie, słońce rozlewało się pomarańczowo na horyzoncie. W oddali leciał samolot, zostawiając za sobą biały pas, przyglądałam się, jak znika za górami, był to pierwszy przejaw cywilizacji od kilku godzin.

Przed nami otwierała się ciemna paszcza tunelu wydrążonego w skale. Dustin zablokował drzwi, radio zaczęło trzeszczeć, potem w ogóle przestało działać. Gdy dotarliśmy do drugiego końca tunelu, byliśmy w górach. Górską drogą była wykuta w granicie. Gigantyczne szczyty strzelały w górę, wyglądając niczym szczęki na horyzoncie. Im wyżej wjeżdżaliśmy, tym temperatura bardziej spadała. Woda z topniejącego na szczytach śniegu spływała na drogę, Dustin zwolnił.

Nagle zobaczyłam dom z ciemnego drewna. Na wpół rozwalony, wydawał się opuszczony, a jednak za pękniętym oknem w kuchni zobaczyłam jakiś ruch.

Przycisnęłam twarz do szyby, minęliśmy kolejny dom, mniejszy i lepiej utrzymany, spoczywający na granitowym podłożu. Pojawiły się kolejne budynki. Dojechaliśmy do skrzyżowania, gdzie były sklep, stacja benzynowa i restauracja z wyblakłym napisem: „U Beatrice”.

- Co to za miejsce?

- Attica Falls.

Na poboczu stało kilka samochodów, na stacji mężczyzna tankował podrdzewiałego pikapa, bezdomny kot schował się pod werandą. Dustin skręcił w lewo, w ulicę biegnącą stromo w górę. Miasteczko skończyło się równie

nagle, jak się zaczęło. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na nie ostatni raz, zanim zniknęło z pola widzenia. Attica Falls.

Niedługo potem zatrzymaliśmy się przed przytuloną do lasu wysoką żelazną bramą. Jej skrzydła były połączoną ze sobą niczym gałęzie drzewa. Na środku wisiała mosiężna tablica z napisem: „Akademia Gott-frieda”. Poniżej widniały skrzyżowane ramiona i napis: *Vox sapientiae clamans ex inferno*. Niewysoki mężczyzna w mundurze wartownika podszedł do samochodu od strony kierowcy.

Dustin odkręcił okno i powiedział:

- Pan Brownell Winters.

Wartownik cofnął się i stanął na baczność.

- Sir. - Kiwnął sztywno głową i pobiegł otworzyć bramę. Gdy przejeżdżaliśmy, wpatrywał się badawczo w samochód, a potem szybko odwrócił wzrok.

Teren szkoły znacznie różnił się od tych dzikich pagórków, które go otaczały. Było tu płasko i zielono, wszędzie trawniki i drzewa. Uczniowie przechadzali się w parach i grupkach, niektórzy leżeli na trawie i czytali, inni siedzieli na schodach. Kampus tworzyły masywne gmachy z ciemnej cegły, poplamionej i pociemniałej, co nadawało im przydymiony odcień. Po ścianach piął się gęsty bluszcz, a budynki sprawiały wrażenie, jakby nie zostały zbudowane, lecz wyrosły z ziemi.

Wjechaliśmy na półkolisty podjazd i zaparkowaliśmy u stóp wielkiego kamiennego gmachu z napisem: „Kolegium Archebalda” wyrytym nad wejściem. Dustin wysiadł z samochodu, nie wyłączając silnika, i wyjął walizki z bagażnika.

- Mogę jakąś wziąć - zaproponowałam, ale się nie zgodził. Pochylony, zaniósł je do holu, zostawiając mi jedynie plecak.

- I tu się rozstaniemy - oznajmił dziadek.

- Wyjeżdżasz? - spytałam zaskoczona. Nagle poczułam się bardzo samotna.

- Chciałabyś, żebym został? - Popatrzył na mnie uważnie. - Edith Lumbar. Uczy tutaj i jest moją dawną koleżanką. Jak będziesz miała jakikolwiek problem, zwróć się do niej; pomoże ci.

Skinęłam głową, skubiąc brzeg swetra.

- Masz również mój numer telefonu. Dzwon, nie krępuj się.

- Dobrze.

- Przypominasz mi swoją mamę, gdy była w twoim wieku. Byłbym szczęśliwy, gdybyś była taka jak ona.

Przytulił mnie sztywno, choć pewnie miało to być serdeczne pożegnanie, i weszłam do Kolegium Archebalda.

Stałam w ogromnym holu z wysokim sklepieniem i mahoniowymi ścianami, które nasuwały na myśl wnętrze kościoła. Szłam powoli, dopóki nie dotarłam do otwartych drzwi po prawej stronie. Zajrzałam.

- Proszę - usłyszałam przyjazny głos. Zaskoczona weszłam do środka. Młoda kobieta z ustami pomalowanymi czerwoną pomadką, wyglądająca jak sekretarka, siedziała za biurkiem. Sortowała stos teczek. Była jednocześnie piękna i zwyczajna, zupełnie jak gwiazdy kina z lat pięćdziesiątych. Spodziewałam się nawet, że zaraz odsunie maszynę do pisania i wyjmie długiego papierosa. Gdy podeszłam, uśmiechnęła się.

- Dzień dobry - przywitałam się. - Jestem... nową uczennicą.

Skinęła głową.

- Jak się nazywasz?
- Renee Winters.

Przebierała teczki szczupłymi palcami i w końcu podała mi kopertę. Obróciłam ją w rękę, niepewna, co mam zrobić. Chyba zrozumiała, bo wyjaśniła:

- W środku jest twój plan zajęć. - Wskazała kopertę. -Wszystko, czego mogłabyś potrzebować, jest już w twoim pokoju, razem z walizkami, które dostarczono tam w czasie naszej rozmowy. Jesteś w pokoju 12E, w internacie dla dziewcząt. Gdy wyjdiesz z tego budynku, skręć w prawo i idź chodnikiem przez skwer. Gdy dotrzesz do jeziora, powinnaś zobaczyć internat po lewej stronie.

Wsunęłam kopertę do kieszeni i powiedziałam:

- Dziękuję.

Poszłam przez kampus ścieżką wyłożoną kocimi łbami, wzdłuż której rosły dęby, klony i jakieś krzewy. Wszędzie kręcili się uczniowie, dziewczyny w plisowanych spódnicach i bluzkach, chłopcy w koszulach z kołnierzykami i krawatach. Spojrzałam na mój sweter i bluzkę z kołnierzykiem, które wyjęłam z szafy mamy i włożyłam do szortów. To była ostatnia chwila, kiedy mogłam tak chodzić, i ku mojej zdziwieniu dziadek nawet się nie zająknął na ich temat. Jednak teraz poczułam się jak odmieniec; przyspieszyłam kroku, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w zaciszu mojego pokoju.

Ścieżka się zwężyła, zobaczyłam wielki zielony teren otoczony drzewami, to pewnie skwer. Zaraz potem wyłoniło się jezioro, szerokie i spokojne. Budynki odbijały się w wodzie, rozmazując się i falując. Na brzegu znajdował się posąg: niedźwiedź naturalnej wielkości. Stał na czterech łapach i wyciągał pysk ku niebu.

Budynek internatu dziewcząt zbudowano z miękkiego szarego kamienia, jakby z kostek mydła, wyglądał na bardzo czysty. Po drugiej stronie jeziora była niemal identyczna budowla, tylko z ciemniejszego kamienia. W cieniu dębów wyglądał ponuro; w jego stronę szło kilku chłopców.

Weszłam do środka i odkryłam, że ogrzewanie jest włączone, wszystko jest w kolorze mleka. Na górę prowadziły szerokie kamienne schody. Gdy po nich wchodziłam, przesuwając palcami po poręczy

Mój pokój okazał się duży i słoneczny, z wysokim sufitem i kominkiem. Ściany miały optymistyczny żółty kolor, pachniało słodko drożdżami i pieczonym chlebem, przypominając mi dom. Dwa duże okna wychodziły na jezioro i trawnik. Moje walizki stały przy parapecie, już zaczęłam je rozpakowywać, gdy powiał północny wiatr, poruszając jakimiś papierami.

Na biurku leżała duża prostokątna paczka owinięta w brązowy pergamin, na którym widniał napis drukowanymi literami: „Renee Winters”. Na niej leżał podręcznik z emblematem akademii na okładce. Otworzyłam: *Regulamin dyscypliny w Akademii Gottfrieda*. Miał sto pięćdziesiąt siedem stron. Jakim cudem mogło tu być tyle zasad? Odłożyłam go na bok i otworzyłam karton, w środku był stos książek.

Łacina Evangeline Rhine

Mitologia i rytuały Gandra McPhersona

Zagubione liczby pod red. J.L. Prouty'ego & Linusa Mossa

Gleba Brendy Hardiman

Geneza egzystencji Paula F. Dabneya

Medytacje Rene Descartes'a

Republika Platona.

Pod spodem były jeszcze książki Nietzschego, Ary-stofanesa, Arystotelesa i innych autorów, których nazwisk nie zdołałam wymówić.

Speszona, wyjęłam z kieszeni kopertę. W środku była kartka z nagłówkiem: „Plan zajęć, klasa druga, Winters”.

Łacina podstawowa, poziom 1

Starożytne cywilizacje

Arytmetyka urojona

Ogrodnictwo

Plastyka

Nauki podstawowe.

Ogrodnictwo? Arytmetyka urojona? W Kalifornii mieliśmy zwykle przedmioty, takie jak angielski, matematyka, biologia czy języki współczesne, hiszpański czy francuski. I co to są nauki podstawowe?

Wzięłam do ręki *Mitologię i rytuały*, co jak przypuszczałam, było podręcznikiem o cywilizacjach starożytnych. W Kalifornii historia była moim ulubionym przedmiotem, to pewnie będą jedyne zajęcia z całego planu, które mi się spodobają. Najwyraźniej nie miałam innego wyboru... Zresztą jak ze wszystkim w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Moje rozmyślenia przerwał odgłos kroków. Ktoś podszedł do drzwi; zdumiona wstałam, widząc, że gałka przekręca się i drzwi uchylają ze skrzypnięciem.

Do środka weszła dziewczyna, ciągnąc za sobą dwa wypchane worki marynarskie. Szopę kręconych blond włosów miała spiętą na czubku głowy, okrągłe policzki czerwone od wspinaczki po schodach. Z westchnieniem ulgi zdjęła torbę z ramienia, stawiając ją na podłodze z głuchym odgłosem.

- Kim jesteś? - spytałam zaskoczona.

- Eleanor - odparła, wachlując się ręką. - Eleanor Bell.

Jej zaróżowioną twarz okalały jasne loki. Była bardzo ładna i wyglądała, jakby właśnie zeszła z prywatnego jachtu w Nantucket.

- Ale co robisz w moim pokoju?

- O co ci chodzi? - Popatrzyła na mnie tak, jakbym zwariowała. - Mieszkamy razem.

- Och... - Poczułam, że się czerwienię. Zajęta rozpakowywaniem paczki, nie zwróciłam uwagi, że w pokoju stały dwa łóżka. Teraz rozejrzałam się dokładniej i zrozumiałam, wszystkiego było po dwa: dwa biurka, dwa krzesła, dwie szafy, przedzielone kominkiem. - Nie powiedziano mi, że mam współlokatorkę.

- Mnie też nie. Moja koleżanka wyjechała z akademii w ostatniej chwili, miałam cały pokój dla siebie.

Poruszyłam się niespokojnie.

-Przepraszam.

Wzruszyłam ramionami.

- No coś ty, nie ma sprawy. We dwie będzie weselej. Jak się mieszka samemu, robi się nudno. - Spojrzała na moje nogi i zamarła. - Wiesz, że jesteś ubrana niezgodnie z regulaminem? Spojrzałam na swoje szorty, a potem na nią. Miała na sobie niemożliwie krótką wełnianą spódniczkę, idealnie wyprasowaną białą koszulę i czarne podkolanówki. Pomyślałam, że pewnie jej rodzice należą do ludzi, którzy mają stadninę, a w weekendy grają w tenisa, po tym jak już objadą swoją posiadłość.

- A ty nie?
- Eleanor zignorowała moje pytanie.
- Żadnych dżinsów i ubrań z napisami - wyrecytowała. - Wyłącznie spódnice, koszule z kołnierzykami i pończochy. A jeśli chcesz nosić spodnie, musisz włożyć marynarkę. |
Przewróciłam oczami. Po jakie licha tak się stroić do szkoły? |
- Wydawało mi się, że wyglądam nieźle.
Eleanor prychnęła, zadzierając guzikowaty nos.
Nieźle, jeśli wybierasz się na plażę, ale my jesteśmy w Akademii Gottfrieda! Jednej z najstarszych i najbardziej elitarnych szkół! Wiesz, ilu ludzi dałoby się zabić, żeby być na twoim miejscu?
Ja po raz pierwszy usłyszałam o tej szkole od dziadka i jej elitarność mnie nie obchodziła. Oddałabym wszystko, żeby znaleźć się z powrotem w mojej starej szkole.
Wiesz, musiałam zostawić przyjaciół... - Odsunęłam suwak jednej z walizek i dodałam:
- Jestem tu nowa.
- Wiem. - Eleanor rzuciła jeden z worków na łóżku. - Po pierwsze, akademia jest mała. Wszyscy wszystko wiedzą. - Rozpuściła włosy, blond loki spadły jej na ramiona, pokój wypełnił zapach cytrusów - Po drugie, tajemnice, które nie wyszły na jaw, są skrzętnie ukrywane i na pewno nie bez powodu.
Skinęłam głową, w głębi ducha myśląc, że po prostu przesadza. Chodziłam do liceum, tajemnice zawsze wychodzą na jaw.
Eleanor urwała i przez chwilę myślałam, że skończyła i że w końcu zdołam się rozpakować. A wtedy ona oznajmiła:
- Ty na przykład masz na imię Renee. Masz sto pięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i przyjechałaś tu ze szkoły w Costa Rosa, jesteś w drugiej klasie, tak jak ja, i interesujesz się historią i naukami społecznymi. Twój rodzice byli nauczycielami, ale zmarli. Twój dziadek tu cię przysłał. Nazywa się - urwała, usiłując sobie przypomnieć - Brownell Winters.
Popatrzyłam na nią zaskoczona.
- Skąd...
- I teraz sobie myślisz, że jestem rozpuszczoną egoistką, z fiołem na punkcie makijażu i markowych ciuchów. I że znalazłam się w akademii, ponieważ moi rodzice finansują szkołę.
- Nieprawda. To nie... wcale tak nie myślę. - wykrztusiłam. Zabrzmiało to sztucznie, a najgorsze było to, że rzeczywiście coś takiego przyszło mi do głowy.
- Nie przejmuj się, każdy tak myśli. I chyba aż tak bardzo się nie mylą. Twoja rodzina też się przyczyniła do powstania akademii, dlatego tu jesteś. Nie musiałaś nawet przechodzić przez ten idiotyczny test. I chociaż nie jesteś bogata, no wiesz, twoi rodzice byli nauczycielami, to jednak jesteś jedynaczką i pewnie strasznie rozpuszczoną. Ja mam przynajmniej starszego brata. Każdy wie, że jedynacy nie potrafią się dzielić.
Wpatrywałam się w nią, czując złość i zakłopotanie. Skąd to wszystko wiedziała? Miałam ogromną ochotę zapytać, czy dlatego jest tak wredna, bo ma kasę, ale wykrztusiłam tylko:
- Umieć się dzielić!
- Już ci powiedziałam - odparła, jakby czytała w moich myślach. - Tu się wie takie rzeczy. Moi rodzice są rozwiedzeni, więc prawie ich nie widuję. Rozwiedli się kilka lat temu. To dopiero była afera. Moja mama ma dom

w Aspen, tata w Wyoming, ale nadal walczą o resztę. - Przewróciła oczami. - A raczej robią to za nich ich prawnicy. Moi starzy nie mogą znieść, kiedy znajdują się w tym samym stanie, więc zaciekle walczą o to, gdzie będziemy mieszkać. Właśnie dlatego nas tu wysłali. No i dlatego, że cała nasza rodzina ukończyła Akademię Gottfrieda. - Uśmiechnęła się. - Teraz też wiesz o mnie wszystko. - Zajrzała do mojej otwartej walizki i zawołała: - Jaka śliczna spódnica!

Patrzyłam, jak pochyła się nad moimi rzeczami, cała różowozłocista, najwyraźniej zadowolona ze swojego wyglądu.

- Dzięki - odparłam. - To mojej mamy.

- Twoja mama miała świetny gust. Mogę zerknąć? - I nie czekając na pozwolenie, zaczęła grzebać w walizce. - Zawsze chciałam mieć normalną rodzinę, mieszkać w małym przytulnym domku, gdzie rodzice smażą naleśniki na śniadanie i pożyczają jajka od sąsiadów. Jeździłabym do szkoły autobusem i pracowałam w wakacje. To takie romantyczne! Mogłabym pracować jako kelnerka, nosić fartuszek i w ogóle.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

- Romantyczne?! Chyba żartujesz. Autobus jest zatłoczony, można usiąść na gumie do żucia. I z chęcią nie pracowałabym w wakacje. Ale pewnie wtedy nie poznałabym chłopaka. Zaprosił mnie na randkę.

Eleanor spojrzała na mnie z zachwytem.

- Widzisz! To takie romantyczne! Musisz mi wszystko opowiedzieć!

Roześmiałam się. Jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo, kto marzyłby o wakacyjnej pracy albo mieszkaniu w małym domu.

- Zacznijmy od początku. - Wyciągnęłam rękę. - Mam na imię Renee.

Eleanor się uśmiechnęła.

- Miło mi. - Podniosła jasnobrązową bluzkę z kołnierzykiem wykończonym falbanką. - Ale czad! Mogę pożyczyć? Pasuje idealnie do mojej nowej spódnicy.

Roześmiałam się.

- Pewnie. Skąd tyle wiesz?

- To proste. Mój brat, Brandon, należy do Straży Uczniowskiej. Jest w ostatniej klasie i jest ulubieńcem dyrektorki. Gdy się dowiedziałam, że będę miała nową współlokatorkę, poprosiłam go, żeby zajrzał do twojej teczki i dowiedział się czegoś. Nie powinien był tego robić, ale dla mnie zrobi wszystko.

To wcale nie było takie proste. A nawet wymagało sporo zachodu. Eleanor mogła po prostu zdobyć te informacje ode mnie. Patrzyłam, jak przerzuca moje ubrania, wyjmując je i przymierza do siebie.

- Dlaczego twoja współlokatorka nie wróciła? Dziewczyna uśmiechnęła się zagadkowo, jakby tylko czekała, aż zapytam.

- Nie tak łatwo odpowiedzieć na to pytanie.